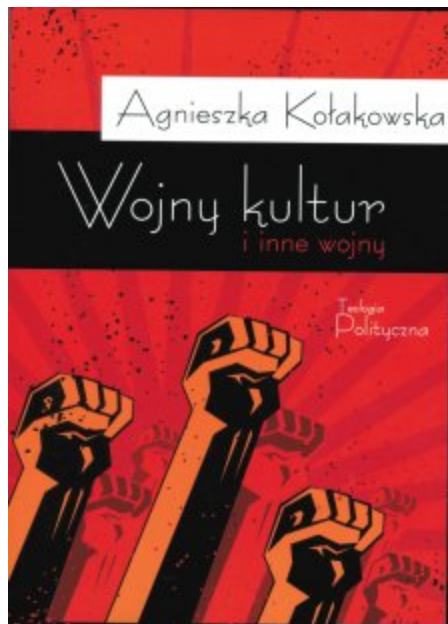


Agnieszka Kołakowska: Czy możliwa jest religia postmodernistyczna?

Podstawową cechą postmodernizmu, nieodłączną częścią jego natury, widoczną w każdym jego przejawie, jest jego totalizm

Podstawową cechą postmodernizmu, nieodłączną częścią jego natury, widoczną w każdym jego przejawie, jest jego totalizm - przeczytaj esej Agnieszki Kołakowskiej z książki *Wojny Kultur i inne wojny*, która została wyróżniona nagrodą im. Andrzeja Kijowskiego



Czy możliwa jest religia postmodernistyczna?
Nie.*

* To chyba idealna odpowiedź na postawione pytanie (a także na wiele innych, które można postawić): jasna, świetnie napisana, poczytna, o przemiłej zwięzłej treści. Któż z nas nie marzył o napisaniu takiego arcydzieła? I nie żałował, że większość tekstów, które czytamy, nie odznacza się taką zwięzłością? Trudno więc oprzeć się pokusie.

Skoro jednak niektórzy mogliby uznać taką odpowiedź za niewystarczającą, w tym kompromisowym przypisie tłumaczę (sobie samej nie mniej niż innym) drogę, którą do niej doszłam. Pierwsza jego część, niestety niezbędna – o tym, czym jest postmodernizm – będzie rozwlekła i zawiła. Wiele o tym pisano i niezliczone rzesze osób znają się na tym o wiele lepiej niż ja. Podejrzewam jednak, że – zgodnie z założeniami postmodernizmu – nie ma tu odpowiedzi jedynie słusznej. Dorzucam więc poniżej swoje trzy grosze i staram się podsumować to, co wydaje mi się w tym nurcie podstawowe i wspólne wszystkim jego przejawom. Wszyscy bowiem o postmodernizmie mówimy, ale rzadko się zastanawiamy, o co właściwie nam chodzi; a skoro nieprzyjemna jest (przynajmniej dla niektórych) świadomość, że się nie wie, o czym się mówi, staramy się jej unikać – na co niemyślenie o postmodernizmie jest skutecznym (i równie zdrowym, jak miłym) sposobem.

W kwestię związku między postmodernizmem a modernizmem nie będę się wdawać: poglądów na ten temat jest chyba tyle, ilu na świecie ludzi piszących, a spór o to, czym jest modernizm i kiedy się zaczął – przed wojną? na początku wieku? w dziewiętnastym wieku? w osiemnastym, w siedemnastym? wraz z renesansem? – trwa już od bardzo dawna i zapewne będzie trwał wiecznie. W części drugiej postaram się wyartykułować, czym wydaje mi się być – a raczej czym,

moim zdaniem, nie jest i być nie może – religia postmodernistyczna. Ta część z kolei będzie niezmiernie krótka. Co więcej, będzie się opierać na pewnym założeniu, dogmatycznie wykluczającym i nieuzasadnionym nawet cieniem argumentu, dotyczącym istoty religii. Na próbę wstępnej definicji postmodernizmu (czy raczej opisu jego kluczowych założeń) człowiek racjonalny, niespecjalista w tej dziedzinie, może jeszcze od biedy się odważyć; ale próba definicji religii byłaby już czystym szaleństwem.

Trudno nie być świadomym, bo bez przerwy ktoś nam to głośno i radośnie w celu wyższego uświadomienia ludzkości ogłasza, że żyjemy w epoce „postmodernistycznej”. Mimo to nie jest wcale oczywiste, na czym takie życie polega i czym się różni od życia w poprzednich epokach. Owszem, mglście czujemy, że jakaś zasadnicza różnica istnieje, ale trudno nam ją ściślej określić. Niejasne jest też, jak się ma teoria do praktyki: czym się różni ten ogólny postmodernizm, w którym przyszło nam (ponoć) żyć, ten dwudziestowieczny stan ducha, który (ponoć) w sposób konieczny określa nasz sposób myślenia o świecie, od teorii postmodernizmu, stosowanej w poszczególnych dziedzinach kultury i nauki na uniwersytetach, ani też jak opisać jego przejawy w literaturze. Postmodernizm nie jest bowiem tylko teorią, stosowaną w jakiejś specyficznej dziedzinie wiedzy; jest doktryną – to znaczy zbiorem przekonań – i podejściem do świata.

Główne cechy postmodernizmu jako ogólnego podejścia do świata zdają się polegać na skrajnej, wszechobecnej, podważającej wszystko ironii; na niekończącym się samokwestionowaniu; na odrzuceniu wszelkich autorytetów i wszelkiej wiary w absolutne wartości i obiektywne prawdy; na odrzuceniu, jako anachronicznych i

nierелеwantnych, wszystkich pewnościdięwiewnastowiecznej (i wcześniejszej) Europy i jej kultury – kultury dla młodych pokoleń teraz nie mniej obcej niż starożytna Ateny.

Postmodernizm twierdzi, że nie ma prawdy obiektywnej („metanarracji”) ani historycznej. Wszystkie nasze poglądy i przekonania są historycznie lub społecznie uwarunkowane; nie ma nic, co by było neutralne pod względem wartości lub wolne od założeń. Wszystko – wszystkie teorie i poglądy, wszystkie nauki, również ścisłe (wiedza naukowa, pisał Jean-François Lyotard w 1984 roku, jest „rodzajem dyskursu”), wszystkie wartości i przekonania – są jedynie „językami”. (A zatem i postmodernizm jest tym, czym mnie się wydaje; nie ma różnicy między tym, czym jest „naprawdę”, a tym, czym jest „dla mnie”, nie ma bowiem czegoś takiego, jak bycie czymś „naprawdę”, absolutnie, obiektywnie. Są tylko różne możliwe języki – sposoby patrzenia na świat). Mój pogląd jest tak samo słuszny, jak każdy inny; „prawda” o czymś składa się z wielu różnych – i może ze sobą sprzecznych – indywidualnych prawd; prawda i rzeczywistość są zależne od punktu widzenia. Należy jednak zauważyć, że twierdzenie to (mianowicie, że prawdy nie ma) jest częścią tej samej postmodernistycznej teorii, która głosi, że twierdzenie, iż prawdy nie ma, jest twierdzeniem zgodnym z prawdą.

Postmodernizm akademicki i literacki, wykładany na wydziałach literatury i będący zarazem źródłem i częścią tego postmodernizmu „ogólnego”, polega w praktyce na pewnym podejściu do czytania tekstów – a raczej: do obchodzenia się z tekstami. (To ważne rozróżnienie, do którego powrócę). Najbardziej znane spośród jego haseł to: samoodniesienie, kontekst (społeczno-klasowo-etniczno-historyczno-płciowy), intertekstualność, podtekstualność, śmierć

autora (ogłoszona już w latach sześćdziesiątych przez Rolanda Barthesa), śmierć literatury, śmierć narracji „autorytatywnej”, śmierć metanarracji, śmierć „autonomicznego” tekstu, pluralizm głosów i „dyskursów”, śmierć jednej, ciągłej tożsamości autora. Nie ma jednego, „prawdziwego” znaczenia tekstu: każdy tekst znaczy to, co znaczy dla danego czytelnika, i jest tym, czym zdecydujemy (w kontekście), że jest. Nie ma perspektywy absolutnej, jest tylko perspektywa własna, indywidualna.

Jak dotąd jest to jeszcze od biedy jako tako zrozumiałe, jeśli się za głęboko nie wnika. Jednak od tego momentu sprawa się komplikuje. Okazuje się bowiem, że choć wszystkie podejścia są równe, jedno z nich jest o wiele równiejsze od innych. Jest to mianowicie podejście... postmodernistyczne. Trudno je opisać, ponieważ trzeba w tym celu zapaść się w gąszcz beznadziejnych, niekończących się błędnych kół, w których mieszają się języki i metajęzyki, teorie zawierają metateorie, a logika dwuwartościowa jest tylko miłym wspomnieniem. Postmodernistyczne podejście do literatury, a także do świata, polega na jednoczesnym twierdzeniu następujących (między innymi) rzeczy: że istnieje tylko perspektywa indywidualna; że wszystkie indywidualne perspektywy i podejścia są równoważące; że tylko postmodernistyczna perspektywa jest słuszna; i że jedyną słuszną perspektywą indywidualną jest perspektywa grupowa (o której poniżej). Innymi słowy, w jednej teorii znajdujemy niekończący się ciąg wzajemnie sprzecznych metateorii. Postmodernizm jest zatem samopodważającą się doktryną, opartą na logicznym błędzie i cierpiącą na tę samą nieuleczalną chorobę błędnego koła, co wszystkie relatywistyczne teorie. Jeśli ją traktujemy poważnie, jest niekoherentna.

Jest też, warto w nawiasie zauważyć, absurdalnie samoobalająca się w praktyce, na różne – często zabawne – sposoby. Na przykład: postmodernistyczni teoretycy lubią od czasu do czasu propagować swoje tezy w telewizji. Ostatnio jeden z nich – bodajże Bruno Latour – ogłosił we francuskiej telewizji tezę, że wszystko jest jedynie językiem i dodał, że zatem między innymi także fizyka jest jedynie „językiem”. Wystarczy jednak chwila namysłu, by sobie uprzytomnić, że gdyby fizyka była jedynie językiem, Bruno Latour prawdy tej w telewizji by nie ogłaszał, ponieważ telewizja by nie istniała. Nie istniałyby też samoloty, za pomocą których Bruno Latour udaje się na konferencje, gdzie tezą tą ludzkość zaszczyca.

Jest też mało oryginalna, będąc (tu dygresyjne słowo o źródłach) rozszerzeniem i zarazem rodzajem *reductio ad absurdum*, lub czasem inwersją, teorii i praktyk literackich, które istniały już od bardzo dawna. Przyznaję, że niejasne jest dla mnie, jak się ma postmodernizm do post-strukturalizmu, dekonstrukcjonizmu i tego, co cieszy się mianem „teorii krytycznej” lub „społecznej”, lub po prostu „teorii”. Wszystkie te doktryny czy podejścia, o podobnej i chyba w dużej mierze pokrywającej się treści, wydają się być jego częścią. Początek jest jednak w miarę pewny: wszystko zaczęło się od biednego, Bogu ducha winnego i niesprawiedliwie dziś przez anty-postmodernistów, anty-strukturalistów (literackich) i anty-post-strukturalistów potępianego de Saussure’a, którego prace o fonetyce i strukturze języków, niezmiernie ważne i pomocne w lingwistyce historycznej, oparte na wnioskach dotyczących działania praw fonetycznych i rozwoju języków indoeuropejskich, zostały rozszerzone i zastosowane, z żałosnym skutkiem, w literaturze i filozofii.

Stosowanie pojęć ukutych w jednej dziedzinie nauki do innych – można by to nazwać „meta-interdyscyplinarnością” – na ogół źle się kończy. W końcu takie przeniesienie jest (niejako z definicji) metaforą, a trudno wymagać od metafory, by stanowiła solidną podstawę teorii w jakiegokolwiek dziedzinie. Jeśli specyficzne, dobrze określone pojęcia z jednej dziedziny staramy się – na dodatek kiepsko tę dziedzinę rozumiejąc – rozszerzyć i przenieść do innej, dość szybko tak bardzo się rozmazują, że przestają cokolwiek znaczyć. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy przenosimy jakieś dobrze określone pojęcie z nauk ścisłych (a lingwistykę można uznać za naukę na w pół ścisłą) do nauk humanistycznych. (Dobrym przykładem podobnego zjawiska jest popularne dziś przenoszenie na ogół bardzo mgliście lub wręcz na opak rozumianych teorii z fizyki do filozofii, czy raczej do sfery ogólnohumanistycznych rozważań, i mętne dywagowanie na tej podstawie o kondycji ludzkiej, w przekonaniu, że się odkrywa niezmiernie głębokie i naukowo uzasadnione prawdy. W istocie odkrywa się jedynie, jak bezgraniczna jest ludzka zdolność do bełkotu). Tyle w obronie de Saussure’a.

W każdym razie strukturalizm w tym szerszym, nielingwistycznym sensie był doktryną, że wszystko można rozumieć tylko w kontekście i w stosunku do wszystkiego innego. Był teorią najpierw czytania tekstów, a potem „czytania” wszystkiego innego: ludzi, kultur, społeczeństw i systemów przekonań. Po nim nadszedł, jak sama nazwa wskazuje, post-strukturalizm, który odrzucił samo pojęcie nauki i prawdy obiektywnej. Potem, czy może jednocześnie, przyszła dekonstrukcja i cała reszta. Można chyba powiedzieć, że miano „postmodernizm” obejmuje cały ten bałagan razem.

To, co w postmodernizmie jest najlepsze i co mogłoby być przydatne, nie jest nowe. Ironią posługujemy się już od dość dawna; Szekspir na przykład robił to subtelniej i efektywniej niż postmoderniści. Od dawna też można zauważyć w literaturze samoodniesienia i samoodwołujące się komentarze. W postmodernizmie jednak został tylko komentarz, w nieskończoność sam się komentujący. Nie ma już się z czego wyśmiewać ani czego podważać, bo komentarz stracił podmiot i odniesienie. To właśnie było celem, ale cel ten niejako sam z sobą się mija. Została tylko dogmatyczna i bardzo z siebie zadowolona powaga. (Jak powiedziała pewna znana nowojorska recenzentka o pewnym filmie: „chce wyśmiewać sam siebie, ale nie posiada tego ‘siebie’, z którego mógłby się wyśmiewać”. Podobnie jest z postmodernizmem).

Postmodernizm mógłby, owszem, być przydatny jako narzędzie poznawcze w badaniach literackich, ponieważ prowadząc nas w kierunkach z góry określonych (teorią), każe nam szukać rzeczy, których inaczej moglibyśmy nie znaleźć; owszem, moglibyśmy za jego pomocą odkrywać znaczenia, ironie, podteksty, samoodniesienia i ukryte (czy wręcz w ogóle niezamierzone przez autora) leitmotywy. Postmodernizm mógłby, innymi słowy, służyć do tego, do czego teoria literacka służyć powinna: do rozszerzenia naszego rozumienia tekstu, do ujawniania w nim rzeczy ciekawych. Lecz postmodernizm, zamiast rozszerzać, zawęża; sprowadza wszystko do tych samych kwestii. I komplikuje, zamiast ułatwiać. Zgodnie z teorią, która głosi, że wszystko trzeba interpretować według teorii, postmodernistyczne nauczanie literatury na uniwersytetach polega nie na czytaniu książek i ich omawianiu, tylko na szukaniu i wynajdywaniu w danym tekście potwierdzeń tej teorii. To, co powinno być przedmiotem badania – to znaczy książka – znika; zostaje tylko teoria. Więc jako podejście do literatury postmodernizm raczej mija się z celem, ponieważ literaturę

unicestwia. (Zauważmy ponadto, że postmodernizm, zdekonstruowawszy narrację autorytatywną i całą resztę, stworzył inną, własną, polegającą po prostu na powtarzaniu siebie samego. Postmodernistyczne mówienie o literaturze sprowadza się do mówienia o postmodernizmie). Tak samo jest, z konieczności, z każdą inną dziedziną, a więc także z religią: znika przedmiot, zostaje jedynie postmodernizm. Inaczej być nie może.

Co więcej, okazuje się, że treść tej teorii, która w każdym tekście się potwierdza i do której potwierdzenia tekst właściwie wyłącznie zdaje się służyć, jest dość dobrze określona. Zastanawiające jest, że wśród eksponentów postmodernizmu – teorii, która głosi, że słusznych teorii nie ma – znajdujemy tak powszechną zgodę nie tylko co do unikalnej słuszności postmodernizmu, lecz także co do podstawowych elementów jego konkretnej treści. Nie mogę twierdzić, że postmodernizmowi zawsze i wszędzie towarzyszą – jako nieodłączne, logicznie konieczne elementy jego podstawowej treści – marksizm, skrajny feminizm, antykolonializm, antykapitalizm oraz przekonanie, że ocena wszystkiego z grupowej perspektywy mniejszości, etnicznych i innych, jest podejściem jedynie słusznym; nie mogę stwierdzić z pewnością, że brak tych elementów pociągałby za sobą jakąś wewnętrzną sprzeczność, bo tak głęboko w tę sprawę nie wnikałam. Mogę jednak zauważyć, że sama jak dotąd nie spotkałam się z przykładem postmodernistycznego poglądu lub teorii, które by takich treści nie zawierały, ani z postmodernistyczną interpretacją tekstu, która nie polegałaby na patrzeniu nań w takim właśnie świetle. *1*

Skoro postmodernizm jest nie tylko doktryną, lecz także podejściem do świata, można go stosować we wszystkich prawie dziedzinach i sferach życia. I we wszystkich przejawia się w przewidywalny sposób. Co

więcej, jest on teorią nie tylko opisującą, lecz także normatywną: chce nie tylko opisać świat (twierdząc, że obiektywna prawda, autorytety i absolutne wartości nie istnieją), lecz także określić, jak świat ten powinien wyglądać. W edukacji, na przykład, postmodernistycznym hasłem jest multikulturalizm: skoro wszystkie kultury są równe, nie powinniśmy wymagać od dzieci, by się dostosowywały do panującej (narzuconej przez tych, co mają władzę) w ich kraju (oczywiście chodzi tylko o kraje zachodnie) kultury, powinniśmy raczej uczyć je, by „akceptowały” siebie takimi, jakie są. Wszyscy jesteśmy bowiem ofiarami dominującego systemu (to znaczy: dominującego języka) i naszym obowiązkiem jest zwalczać system (to znaczy: język), który nas ujarzma.

Historii uczy się z punktu widzenia grup etnicznych i (starannie wybranych) „prześladowanych”; prawdy historycznej nie ma i lepiej o nią nie pytać, bo same słowa „prawda” i „rzeczywistość” są jedynie narzędziami politycznego systemu władzy (to znaczy języka, który te ujarzmiające pojęcia nam narzuca). Tak więc komunizm i faszyzm na przykład były tylko „językami”. Nie wiadomo właściwie, czy istniały naprawdę ani na czym polegały; trzeba je interpretować „w kontekście”. (Ofiary tych systemów nie zdają się należeć do tych uprzywilejowanych grup „prześladowanych”, które cieszą się prawem do głoszenia swojego punktu widzenia jako jedynie słusznego). Uprawianie i uczenie historii przestało być poszukiwaniem prawdy; stało się narzędziem propagandy i sposobem wywierania politycznego nacisku.

Należy jednak zauważyć, że wnioski te, wraz z resztą postmodernistycznego opisu świata, w jak najprawidłowszym sposób z założeń postmodernizmu wynikają. Nie można powiedzieć, że

postmodernizm jest niekonsekwentny; jego logika jest nienaganna. Skoro bowiem jego założenia są wewnątrznie sprzeczne, wynika z nich, jak z każdej logicznej sprzeczności, co się komu podoba.

Postmodernizm, traktując wszystko – i w tym, *a fortiori*, samego siebie – jak rodzaj języka i mówiąc o tych różnych językach – i w tym także o sobie – jednym i tym samym językiem, chce być jednocześnie językiem (tym najlepszym i jedynie słusznym) i metajęzykiem (głoszącym, że jest najlepszym i jedynie słusznym). Co jest niemożliwe. A zatem w ten sam sposób, w jaki nie jest i nie może być przydatnym narzędziem ani nawet ciekawym podejściem w literaturze, nie jest nim i nie może nim być w filozofii ani w religii, ani w żadnej innej dziedzinie. W religii i w filozofii mógłby, a może nawet chciałby pełnić rolę podobną do roli sceptycyzmu (który w dziedzinie religii bywał czasem drogą do fideizmu, drogą umożliwiającą „skok wiary”); lecz mógłby czymś takim być tylko, gdyby w porę się zatrzymał – gdyby nie pławił się z taką rozkoszą w swoich samozaprzeczeniach; gdyby jego (samopodważająca się) artykulacja nie była konieczną – jak sądzę – częścią jego treści; gdyby, innymi słowy, był połowiczny. Ale postmodernizm z natury rzeczy nie może być połowiczny; byłoby to sprzeczne z jego totalistyczną, naturalnie do totalizmu dążącą, naturą. Nie może nawet chcieć być połowiczny, bo taka wola byłaby sprzeczna z jego totalistyczną, naturalnie do totalizmu dążącą, naturą. A jeśli doprowadzamy go konsekwentnie do końca, podważa wszystko, włącznie z samym sobą, i zostaje jedynie nihilizm i skrajny relatywizm, który nawet z tego nihilizmu robi coś niekoherentnego – i o wiele mniej ciekawego niż nihilizm „klasyczny”, pre-postmodernistyczny. A nihilizm (zwłaszcza niekoherentny) nie jest w żadnej sferze ludzkich (a tym bardziej nieludzkich) działań szczególnie przydatnym narzędziem.

Pojęcie religii, jeśli cokolwiek ma znaczyć, musi zawierać pojęcie wiary – wiary w coś. (To jest właśnie to główne założenie, którego nie będę się starać uzasadniać; przyjmuję je jako aksjomat). A wiara w coś zakłada przekonanie, że to coś jest prawdą. (Tak uczył nas, między innymi, Tarski. Chodziło mu wprawdzie o warunki prawdy, to znaczy o to, co musi być prawdą, jeśli jest tak lub owak, a nie o to, w co musimy wierzyć, jeśli wierzymy, że jest tak lub owak; i nie trzeba, jeśli się nie chce, przyjmować jego teorii prawdy, by się z tym twierdzeniem zgodzić. Ale choć zdanie „Wierzę, że żółwie żywią się głównie czekoladą” może nie być we wszystkich kontekstach równoznaczne ze zdaniem „Wierzę, że zdanie «Żółwie żywią się głównie czekoladą» odpowiada prawdzie”, na pewno je zakłada, i bez pojęcia prawdy nic nie znaczy). Co z kolei zakłada przekonanie, że jakaś prawda – co najmniej ta jedna, w którą się wierzy – istnieje.

Postmodernista jednak twierdzi nie tylko, że w żadną prawdę nie wierzy, lecz także, że żadna prawda nie istnieje. (A raczej: wierzy w prawdę postmodernizmu, twierdząc jednocześnie, że prawda nie istnieje. Co pozwala mu, jak już zauważyliśmy, z pełną konsekwencją twierdzić, co mu się podoba). Religia postmodernistyczna jest zatem z definicji niemożliwa. Dla postmodernisty religia jest jednym z dwojga: albo czymś, przeciwko czemu postmodernizm z definicji musi walczyć, ponieważ to coś opiera się na pojęciu prawdy i na autorytecie (a kwestia autorytetu jest dla postmodernizmu kluczowa: nie ma go. A jeśli, mimo proklamacji, że go nie ma, ośmieli się gdzieś pojawić, należy go zwalczać); albo po prostu kolejnym „językiem”, jednym głosem w „pluralizmie głosów”, który należy traktować jak każdy inny. Wtedy religia, pozbawiona pojęcia prawdy, przestaje być religią.

Po drugie, postmodernizm nie jest teorią odnoszącą się do jakiejś specyficznej dziedziny wiedzy, jak np. teorie lingwistyczne czy matematyczne, czy muzyczne; jest doktryną – systemem przekonań – dotyczącą wszystkich dziedzin wiedzy i wszystkich systemów przekonań. Stosowanie postmodernizmu do religii jest zatem stosowaniem jednego systemu przekonań do drugiego – jak stosowanie, na przykład, judaizmu do hinduizmu. Jest to zajęcie tak samo osobliwe, niekoherentne i bezużyteczne, jak stosowanie do religii ateizmu. Jedyne – i jedyny możliwy – wynik próby zastosowania postmodernizmu do religii jest taki, że jeden system – ten, który się stosuje, w tym wypadku postmodernizm – połyka drugi. Zostaje nie postmodernistyczna religia, tylko po prostu postmodernizm.

Po trzecie, postmodernizm jest systemem przekonań o dość specyficznej i dogmatycznej treści, a także (będąc teorią zarazem opisującą i normatywną) o specyficznych społecznych i politycznych celach, polegających właśnie na podważaniu wszystkich innych systemów przekonań, w tym religii. Religia postmodernistyczna byłaby religią antyreligijną.

Po czwarte, jedna z podstawowych różnic między postmodernizmem a – na przykład – chrześcijaństwem polega na tym, że podczas gdy w chrześcijaństwie prawda jest objawiona, w postmodernizmie prawda (oczywiście nie „prawda obiektywna”, której nie ma, lecz każda indywidualna prawda: to, co jest prawdą „dla mnie”) nie jest objawiona ani w żaden sposób ujawniana: przeciwnie, to ja ją stwarzam i jestem jej źródłem.

Po piąte, postmodernizm „czyta” religię tak, jak „czyta” wszystko inne: tzn. interpretuje według swojej teorii, dekonstruuje, podważa, unicestwia i obala. Słowo „czytać” ma w postmodernizmie inne znaczenie niż w normalnym języku. Każdy tekst – i w tym Biblię – należy traktować jak zjawisko, wydarzenie czy osobę i zinterpretować w całości i w kontekście: winniśmy wiedzieć, czym jest ten tekst – jakiego rodzaju społeczno-ideologicznym zjawiskiem. Tylko ustaliwszy to, możemy zapytać, co on znaczy. A znaczy on, z konieczności, co kto chce, inaczej bowiem, narzucając mu znaczenie, narzucałoby się własną interpretację innym. Biblia jest jednym tekstem pośród wielu. Postmodernizm może uznać religię jako dozwoloną lub nawet pożyteczną, tylko jeśli jest rozwodniona do tego stopnia, że nic z niej nie zostaje – trochę jak lekarstwo homeopatyczne. Woda jednak, mówią nam naukowcy, nie ma pamięci; dlatego homeopatyczne lekarstwa nie mogą działać. Postmodernistyczna religia też nie ma pamięci w tym sensie, ani w żadnym innym.

Postmodernista może też traktować religię jako rzecz pożyteczną w mierze, w jakiej widzi w niej po prostu rodzaj siły moralnej: może traktować ją jako sposób integrowania społeczeństwa i tworzenia więzi. Takie utylitarne podejście do religii nie jest uderzająco oryginalnym pomysłem; wiele filozofów i socjologów już na to wpadło i w sumie nic specjalnie pomocnego z tego kierunku myślenia nie wyszło. Ale nawet taki pogląd jest tylko postmodernistycznym (a ściślej: przez niektórych postmodernistów przejętym) podejściem do religii jako zjawiska; nie mówi nic o możliwości religii postmodernistycznej. Kłopot w tym, że religia, by się utrzymać, musi mieć treść; musi się odwoływać do prawdy i absolutnych wartości; i nie może się obejść bez pojęcia sacrum. Bez tego się rozplywa.

Posługujemy się, oczywiście, słowem „religia” w sensie potocznym, mając na myśli nie tyle nawet system przekonań, co po prostu pewien styl życia i myślenia – właśnie pewien rodzaj „języka”. W tym sensie postmodernizm sam jest, rzecz jasna, religią. Można by też powiedzieć, że religią postmodernistyczną w tym sensie jest także nurt zwany New Age. Nie spełnia on jednak żadnych z warunków, które powyżej wymieniam jako konieczne, by coś na miano religii zasługiwało – by pojęcie religii zachowało jakikolwiek sens. Postmodernizm chciałby rozmyć i rozszerzyć pojęcie religii, by móc włączyć do niego, co się komu podoba; jeśli przyjmujemy takie rozszerzone, rozwodnione pojęcie religii i zgadzamy się, że np. nurt New Age jest religią w tym samym sensie, co chrześcijaństwo czy judaizm, przyjmujemy, że wszystko może być religią. Jeśli zaś wszystko może być religią, to nic już nią nie jest, bo pojęcie to już nic nie znaczy: staje się wtedy równoznaczne z pojęciem „języka” czy „dyskursu”.

Być może postmodernistyczne rozwadnianie i dopasowywanie sobie dowolnych treści jest w jakimś stopniu możliwe (możliwe w tym sensie, że nie stanowi zagrożenia przez rozwadnianie) w buddyzmie, bardziej niż w innych religiach. Ale w tak zwanych wielkich religiach monoteistycznych chyba nie. Owszem, są takie próby w reformowanych i „rekonstruktywistycznych” nurtach judaizmu, ale wolno zapytać, do jakiego stopnia te nurty, zwłaszcza jeśli będą przyjmować coraz bardziej postmodernistyczne treści, jeszcze mają coś z judaizmem wspólnego. To jest wielka, stara i skomplikowana debata, tak samo w judaizmie, jak w chrześcijaństwie, zawierająca pytania o wagę tradycji, zwyczajów, historii i liturgii, i m.in. o stopień, w jakim zewnętrzne manifestacje wiary mogą wiarę podtrzymywać i utrzymywać; nie będę się w nią teraz wdawać. W Kościele katolickim próby postmodernizowania są chyba – z tych wszystkich powodów –

rzadkie. Znam tylko jedną konkretną. W katedrze Notre Dame widniał kilka lat temu (nie sprawdzałam ostatnio, czy jest tam nadal), przy konfesjonalach, napis następującej treści: „Aire de dialogue”. Oto spowiedź zamieniła się w dialog. Ciekawe, między kim a kim? W jakim celu? Jaką taki „dialog” ma wagę, jaką ma wartość i co ma z niego wynikać? Pan Bóg (nie mówiąc już o księdzu) stracił autorytet; stał się równym partnerem do wymiany poglądów, na dodatek w specjalnie na tę wymianę wyznaczonym „obszarze” (po co? Wszak dialog dużo przyjemniej prowadzi w kawiarni). Wydaje mi się, że już tutaj coś się rozmywa, że jakieś znaczenie się zgubiło. Religia została zredukowana do – właśnie: do wymiany poglądów, równoważnych, zmiennych, nieobowiązujących. Kościół anglikański (w sposób naturalny) posunął się w tym kierunku o wiele dalej. Niektórzy – w tym niektórzy w Kościele anglikańskim – by chcieli, by księżę Walii, gdy obejmie sukcesję, ogłosił się „obrońcą wiar” zamiast „obrońcą wiary”. Postmodernizm atakuje tu z dwóch stron: z zewnątrz, przeciw religii chrześcijańskiej jako religii państwowej, zgodnie z myślą, że jest to tylko jeden z bardzo wielu systemów przekonań i poglądów, jakie ktoś może sobie wybrać i uznać za „religię”; i z wewnątrz, przeciw jakimkolwiek definicjom i wymaganiom wiary – innymi słowy, przeciwko credo. Są już w Kościele anglikańskim takie głosy.

Można to wszystko powiedzieć o wiele krócej i prościej. Podstawową cechą postmodernizmu, nieodłączną częścią jego natury, widoczną w każdym jego przejawie, jest jego totalizm. Poszczególne jego znamiona, o których mowa powyżej, są tylko pochodnymi czy przejawami tej głównej cechy. Postmodernizm, tak jak marksizm, chce objąć wszystko i wszystkim zawładnąć: rozumem, duszą i światem. Głosi „tolerancję”, lecz hasło to – podobnie jak inne jego hasła: że nie ma prawdy obiektywnej, że wszystkie poglądy są równe, i cała reszta – jest w najwyższym stopniu obłudne. Postmodernizm jest bowiem doktryną

niezwykle dogmatyczną. Nie cierpi sprzeciwu i każdy jego przejaw zwalcza z niezwykłą agresją. Jest głęboko antytolerancyjny i antyhumanistyczny. Na dodatek przedstawia siebie jako jedyne źródło prawdy – i prawdziwej wolności. Innymi słowy, jest rodzajem doktryny totalitarnej.

Znamienne jest, że teoria ta jest krzewiona właśnie na uniwersytetach, przez teoretyków literatury i filozofów – słowem, przez intelektualistów. Jak niegdyś marksizm. Można nawet powiedzieć, że postmodernizm jest szczególną kontynuacją marksizmu, czy ściślej, kontynuacją wielkiej zachodniej tradycji jego propagowania na wyższych uczelniach. Intelektualiści, jak widać, nie stracili swojego zamiłowania do totalitaryzmu; i skoro po upadku komunizmu nie mogą już, jak dawniej, propagować myśli marksistowskiej po prostu, bo zostaliby wyśmiani, przerwali się na postmodernizm, w którym przemycają myśli o miejscami zdumiewająco podobnej treści. Przypomina to koniec horroru: oto nagle zaraza, o której myśleliśmy, że już się skończyła, że wymarła lub wymiera, że już nareszcie po wszystkim, odżywa i wypełza z grobu, by się odrodzić i spłodzić nowe pokolenie.

Doktryna, która chce objąć wszystko i wszystkim zawładnąć, jest z konieczności wrogiem religii. Nie może jej pozwolić żyć; musi ją zwalczać. Religia jest dla postmodernizmu dokładnie tym, czym była dla komunizmu – zagrożeniem. A zwalczać ją można najskuteczniej właśnie przez jej rozwadnianie, aż straci jakikolwiek sens.

Religia postmodernistyczna jest zatem, tak jak biedny król Węgier, zbiorem pustym. Co więcej, w odróżnieniu od króla Węgier jest nim z konieczności i nim pozostanie.

Agnieszka Kołakowska

1 Polecam zabawny i pouczający sposób sprawdzenia, do jakiego stopnia podejście postmodernistyczne jest schematyczne i przewidywalne. Nie jest to, oczywiście, dowód na nic, ale skłania do myślenia. Otóż istnieje w internecie (pod adresem www.elsewhere.org/pomo/) program, który pozwala, za pomocą systemu rekursywnej gramatyki nazwanym „motorem Dada”, generować nieskończoną ilość przypadkowych komputerowych tekstów, trudno odróżnialnych od prawdziwych tekstów postmodernistycznych. Jest to parodia, ale bardzo bliska rzeczy parodiowanej – i znamienna. Ktoś podsumował kiedyś główne tezy św. Augustyna w następujący sposób: „Chrześcijaństwo jest łatwe, jak już się człowiek przyzwyczai”. To może niezupełnie prawda o chrześcijaństwie, ale na pewno jest to prawda o postmodernizmie.